

MAYILDA SERAO

## UCIĘTA RĘKA

TŁOMACZYŁA

MARYA TOCZYSKA

47

I.

Często bardzo, w piękne, pogodne noce, wędrowni śpiewacy zjawiali się na ulicy i przy akompaniamencie gitar dźwięcznymi głosami śpiewali popularne piosenki neapolitańskie.

Ranieri chętnie słuchał ich melodyjnego śpiewu, drżąc nerwowo na dźwięk namiętych, miłością gorącą przepojonych słów tych pieśni.

Bolesne wspomnienie utraconego szczęścia występowało wówczas silniej w jego duszy, to fatalne wspomnienie, które podstępnie zatruwało jego młode życie, wysączając z niego kropla po kropli resztę sił duchowych i żywotnych.

I w ten wieczór właśnie tak ciepły i rozkoszny, usposabiający do marzeń rozkosznych — Ranieri czuł, jak tęsknota bezbrzeżna ogarnia go całą swoją potęgą i pobudza aż do szału, przywołując żywe wspomnienia utraconej miłości. Z poza szklanych drzwi balkonu, widział Ranieri grupę przechodniów, otaczających wieczornych śpiewaków — i w pewnej chwili, jak gdyby popchnięty jakąś niewidzialną siłą, pochylił się niżej, aby lepiej dojrzeć, co się dzieje na ulicy. Po chwili jednak znudzony, wsparł głowę o poręcz fotelu i zatopił się w rozpaczliwych swoich rozmyśleniach. Lecz znowu, po płynie kilku minut uczył, że coś przyciąga go a balkon. Wychylił się więc raz jeszcze, zaniepokojony nagle i wzruszony i tym razem ujrzał wpatrzony w niego gorączkowo oczy jakiejś kobiety.

Była to kobieta z ludu, ubrana w ciemne suknie. Głowę jej okrywała lekka, czarna chustka, którą przytrzymała ręką u szyi.

Lekki okrzyk zdumienia wybiegł z piersi młodego człowieka. W jednej chwili poznał tę twarz wyraziście.

Była to Róża, służąca Racheli Kabib, ta sama, która zniknęła owej fatalnej nocy wraz ze swoją młodą panią. I kobieta ta wpatrywała się w niego uważnie i tak przenikliwie, że widocznie było, iż go poznać musiała, pomimo zmroku, zalegającego ulicę i zmian, jakie zaszły musiały w rysach Ranieri, od tego czasu, kiedy go widziała po raz ostatni.

Ranieri skoczył na balkon i bez względu na chłód nocny, tak szkodliwy dla jego zagrożonych płuc, przechylił się przez poręcz i zawołał donośnym głosem:

— Różo! Różo!

— Jestem panie! — odpowiedziała kobieta, podchodząc pod sam balkon, a dobre jej, wierne oczy, rozbiły się nagle radością.

— Chodź na górę!

— Gdzie?

— Do mojego mieszkania.

— Jaki numer pokoju?

— Czternasty! Powiesz portyerowi, że cię sam wzywałem.

— Biegnę, panie!

Dojrzał, jak okrążyła hotel szybkim krokiem i weszła w główną bramę. Chciał zamknąć drzwi od balkonu i wyjść parę kroków na jej spotkanie, ale kiedy postąpił parę kroków, uczył nagle silny brak oddechu i osłabienie. Wzruszenie było za silne. Oparł się więc o sióło i czekał. Drzwi otworzyły się po chwili i Róża weszła. Ta Róża, która była powiernicą ich miłości, wierna, oddana ich sprawie, taka zawsze pełna współczucia, gotowa na każde poświęcenie.

Kiedy weszła i ujrzała go tak wynędzniałym, tak bladym i wychudzonym, rzuciła się na krzesło i zakrywając twarz rękami, wybuchnęła płaczem.

— No i co, Różo? Dlaczego ty płaczesz? Powiedz? — zapytał słabym głosem Ranieri.

— Oh! Ekscelencyo! Ekscelencyo! — wyłkła biedna stara — zobaczyc pana w takim stanie... po tylu miesiącach...

— Nie umarłem jeszcze, Różo — szepnął Ranieri, uśmiechając się blade, odpychając siłą woli od siebie pytanie, jakie mu paliło usta.

— Oh! panie! panie! Powinien pan żyć sto lat...

— To za długo, Różo — odparł z lekką ironią w głosie. — Ale nie płacz już... słyszysz... nikt przecie nie umarł...

Mówiąc to, wpatrzył się w nią w tak przenikliwy sposób, że stara zrozumiała jego myśli i spuściła wzrok ku ziemi.

— Nie... nikt nie umarł jeszcze — odparła powoli, ocierając twarz chustką... — ale...

— Ale co? co?

— Ale... prawie...

— Prawie? Co ty chcesz powiedzieć? — zapytał Ranieri, pochylając się ku niej żywo.

— A tak! — westchnęła ciężko Róża.

— Czy Rachel chora... umierająca może... — zapytał Ranieri ostrym głosem — mów Różo, rozkazuje ci mówić!

— Nie, panie, ona nie jest chora... Zdaje mi się, że ona nie jest chora...

— Zdaje ci się? Więc nie jesteś pewna... Nie widziałas jej więc?...

— Oh! nie widziałam jej już bardzo dawno — wyznała z żalem.

— A więc? Dlaczego mówisz, że ona prawie jest już umarłą. Co wiesz o tem?

— Mówię, że jest prawie umarłą, bo ona zamknięta jest w klasztorze, Ekscelencyo i to w bardzo surowym klasztorze, gdzie dostęp do niej jest utrudniony...

— Ah! a więc przeczucia moje nie omyliły mnie! — zawołał Ranieri. — Ale gdzie ona jest, Różo? Gdzie? powiedz?

Służąca spojrzała na niego z wahaniem, nie wiedząc, czy mówić dalej.

— Różo! przez łitość, błagam cię, powiedz mi, gdzie ona jest!

— Czy powinnam to powiedzieć panu! Pan tak źle wobec niej postąpił! Oszukał ją! zdradził! — wymówiła z żalem stara.

— Oh! Różo! gdybyś ty wszystko wiedziała! Gdybyś ty wiedziała, w jaką okropną zasadzkę wpadłem najniewinniej zupełnie!

Panie!

— Tak, ja, Różo! Ani na minutę jedną nie przestałem kochać Racheli — nie zgrzeszyłem ani myślą przeciwko niej — zawołał Ranieri, nie panując już nad sobą.

— Naprawdę panie! — naprawdę!

— Przysięgam ci, Różo!

— Oh! Boże! Jakież to straszne nieszczęście! — załkała rozpaczliwie stara.

— Powiedz mi, powiedz, gdzie ona jest obecnie?

— Niechajże Bóg dopomoże panu — wymówiła z powagą Róża. — Ona jest tu.

— Tu, w Neapolu?

— Tak.

— Ah! Sama Opatrzność mnie tu przywiodła — zawołał Ranieri z wybuchem. — Tu! w Neapolu! W jakim klasztorze, Różo?

— W klasztorze Siostry Urszuli Benincasa, między pogrzebaniami za życia — szepnęła cicho stara służąca, nie mogąc siłami wzruszenia.

— Boże mój! — zawołał Ranieri! — Między pogrzebaniami żywcem! Co za okropna rzecz! I dlaczegoż ona poszła się zamknąć w tym strasznym klasztorze?

— Chciała zostać zakonnicą i dlatego wybrała klasztor o najostrzejszej klauzuli.

— Jak dawno tam przebywa?

— Od pięciu czy sześciu miesięcy. Kilka-krotnie musiała zmieniać miejsce pobytu.

— Dlaczego?

— Poszukiwano jej...

— Poszukiwano... kogo?

— Kogo? a kogożby, jak nie ten człowiek nikczemny — wybuchnęła z nienawiścią Róża. — Ten prześladowca jej! Sprawca ohydny wszystkich jej nieszczęść i łez!

— Markus Henner?

— Pan zna jego nazwisko?

— Tak, znam je, Różo. Znam to imię przekłętę. I dowiedziałem się o niem w cudowny sposób, bo Rachel nigdy go przedemną zdradzić nie chciała!

— A więc człowiek ten prześladował ją aż za murami klasztoru, w końcu musiała się schronić tutaj — bo tutaj, panie, to już grób, to już koniec wszystkiego!

— Ale ty ją zawsze widzisz, Różo? Jakże się ona czuje? Co robi?

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

— Nie widuję jej wcale.

— Nie widujesz jej! Nie chodzisz do niej? — zdziwił się boleśnie Ranieri.

— Ona sama nie chce się ze mną widzieć. Odrzuca mnie! — zawołała, wybuchając rozpaczliwym łkaniem.

— Jakto? — zdumiał się Ranieri — ona ciebie widzieć nie chce! Ciebie, Różo! Powiernicę swoją i opiekunkę! To niemożliwe!

— A jednak tak jest, Ekscelencyo.

— Dlaczego?

— Powiedziała mi, kiedy ją widziałam po raz ostatni, że nie chce mieć żadnej styczności ze światem.

— Ależ ty, Różo, byłaś jedyną istotą, która jej pozostała!

— Tak, to prawda! — westchnęła boleśnie stara. — Ale właśnie mnie widzieć więcej nie chciała. Sama mi o tem powiedziała.

— Dlaczego ona cię widzieć nie chciała, Różo? — badał dalej niespokojnie Ranieri.

— Bo widok mój przypominał jej ból największy, jaki przeżyła w życiu i osobę, która się okazała dla niej najbardziej okrutną i bez serca — odpowiedziała służąca.

— Ty?

— Ja, panie.

— O kim ona myślała, mówiąc ci to, Różo? — spytał smutnie Ranieri.

— O tobie panie! o twojej zdradzie — szepnęła Róża, spuszczaając oczy.

Ból straszny odmalował się na pobladoj twarzy młodego człowieka.

— Ona mnie nienawidzi... prawda? ona mnie nienawidzi? — szepnął drżącym głosem.

— Nie wiem, czy ona pana nienawidzi... nie wiem — odpowiedziała cicho Róża.

— Nie wiesz?

— Nie mówiła mi nigdy o tem.

— Jakto?

— Nie rozmawiała nigdy o panu...

— Nigdy?

— Nigdy!

— Oh! mój Boże! — jęknął rozpaczliwie Ranieri. — A ty, Różo? ty także nie mówiłaś nigdy o mnie? — zapytał błagalnie.

— Nigdy, panie. Zabroniła mi tego surowo. Nie chciała nawet, abym imię pana wymówiła kiedy przy niej.

— Boże mój! Boże! — powtórzył Ranieri rozdierającym głosem i ukrył nagłym ruchem twarz w rękach, aby nie zdradzić łez, które zabłyśły w jego oczach.

Bolesne milczenie zaległo pokój.

— Często bardzo chciałam zacząć mówić o panu — odezwiała się znowu Róża — ale ona wtedy spojrzeniem nakazywała mi milczenie, a w spojrzeniu jej było tyle rozpacz i bólu, że nie śmiałam rozdrażniać jej więcej.

— Miała słusność — tak... ona miała słusność — szepnął Ranieri, jak gdyby odpowiadał własnym swoim myśleniem.

— Ah! panie! to było straszne... nikt wyobrazić sobie nie może tej nocy okropnej... tej nocy, kiedy uciekałyśmy obydwie z domu...

— Oh! Różo! i dla mnie ta noc była najstraszniejszą z tych, które przeżyłem!

— A tam... u pana... czekałyśmy długo, bardzo długo... i nareszcie nadeszła ta okropna wiadomość, że pan jest ranny... że pan został śmiertelnie ugodzony... że pan kona już... i gdzie? — w domu swojej kochanki... tej, dla której pan ten cios śmiertelny otrzymał.

— Oh! jaka podłość! jaka podłość!

— Oh, taki ohydny podłość, zaprawdę! Niech pan pomyśli o tej biednej dziewczynie, która uciekła z domu ojca, która pozostała bez opieki i schronienia i która nawet przyjąć po ratunek do pana nie mogła... bo pan leżał nieprzytomny w domu tej kobiety...

— O Rachelo, moja biedna, ukochana Rachelo! — zawołał Ranieri nieprzytomny z rozpacz.

Zamilkł znowu na długą chwilę.

Po jakimś czasie Ranieri podniósł głowę i spojrzał na służącą rozpalonymi oczami.

— Różo, a gdzie udałycie się potem? — zapytał głuchym głosem.

— Do wikaryusza papieskiego.

— On to wzięł was pod swoją opiekę?

— Tak.

— Rachel nie poczyniła żadnych kroków, aby mieć jakie wiadomości odemnie?

— Żadnych. Ona widziała w tem zdarzeniu rękę Opatrzności i poddała się tej wyższej woli, wyrzekając się wszystkiego.

— Jak długo, mówisz, przebywa ona tutaj?

— Sześć, siedm miesięcy.

— W zamknięciu?

— Tak, w zamknięciu zupełnem.

(Dalszy ciąg nastąpi)